N.
HISTORIA POSTOJU LAST MINUTE

Maks Wolski
Michał Pabian

POSTACI:

N.
BMW
ONA
RADOCHA
I GŁOSY: WŁOSKI, PŁACZLIWY i ewentualnie wszystkie inne

1. KTOŚ WOŁA

N:

Polsko! Kraju! Ojczyzno!

Weź mnie!

Polsko, ojczyzno moja, ty jesteś chorobą, ile cię trzeba leczyć, ten tylko się dowie, kto wyzdrowiał!

Źle mi przez ciebie, Ty!

Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy i w licheńskiej świecisz bramie!

Co Świebodzin cny, gdzie Syn Twój miłosiernie panuje, ochraniasz

Polsko!

Zmiłuj się Polsko!

Nad nami brzydkimi, dziećmi twoimi gorszymi, polskimi, o karkach z golonki i twarzoczaszkach grubych.

Polsko!

Pobłogosław ten kraj, Bogurodzico dziewico, ten ordynarny kraj z gazobetonu i błota.

Ziści nam, spuści nam,

Kyrie Eleison

ONA: Co robisz? Czego chcesz? Czemu wołasz?

N: O wołam, cię wołam..

ONA: Polsko, ojczyzno, moja.

N: Polsko, ojczyzno, moja

ONA: Tyś jest centrum logistyki.

N: Jam jest

ONA: Czemu wołasz?

N: Moja!

ONA: Rusz się, centrum logistyki...

N: O ruszam, jak ruszam, ojczyzno moja, moja…
I jadę przez ciebie, kraino mdła, śledziowa

ONA: Czy to droga krajowa?

N: Tak! I mijam twe pola, twoje parkingi liczne, różowe, pistacjowe bloki

ONA *śpiewa*
Baraki, stacje benzynowe; baraki stacje benzynowe
Składy palet i granitu, eternitu
Szamba moje szczelnie mijasz
Moje blachy i dachówki
Moje okna armaturę
Mijasz i widzisz
Moje fabryki – mebli, okien, ceramiki
Nawozów i tuczników
Moje ubojnie, moje formy
Moich kochających rzeźników

N: Panno święta

ONA: Święta.

N: Tak, jadę przez ciebie, w życia wędrówce, gdzieś u końca czasu.

ONA: Jestem.

N: Weź mnie!

ONA: Autostopem nie biorę
ONA *śpiewa*

Moje fabryki – mebli, okien, ceramiki
Nawozów i tuczników
Moje ubojnie, moje formy
Moich kochających rzeźników

N: Gdzieś u końca czasu!

ONA: Masz czas! Jestem! Kyrie Eleison! Droga krajowa! Gdzie jesteś? Co widzisz?

N: Zaszedłem do czarnego lasu
Znaczy w czarnej dupie się znalazłem

ONA: Kyrie Eleison!

N: Zmiłuj się!

ONA: Kyrie Eleison!

N: No miłuj się! Miłuj mnie!

ONA: Kyrie Eleison!

N: Czemu trwasz tak

ONA: Kyrie Eleison!

N: Z miną ponuro zaciętą, wciąż ta sama, odwieczna, bezdenna, bagienna, ślągwa i glątwa, Panno Święta!

ONA: Kyrie Eleison!
Wciąż ta sama, odwieczna, bezdenna, bagienna

ONA *śpiewa*

Moje fabryki – mebli, okien, ceramiki
Nawozów i tuczników
Moje ubojnie, moje formy
Moich kochających rzeźników

W czarnym lesie? Tam mnie wielbisz? Nie rozumiem…

N: Bo ja w czarnej dupie jestem! Weź mnie stąd!

ONA: Trwasz oto w interiorze swym głuchym.
To zmiany tylko, wszystko się zmienia, nie bojaj się! Nie bojaj!

N: No zmiłuj się!

ONA: Miłuję!

Zamiast Tesco przychodzi Carrefour
A gdzie frytki sprzedawano kiedyś, tam dziś jest bielizna damska
I że nie można wejść dwa razy do tego samego baru, tego samego supermarketu?

Nie bojaj się! Nie bojaj się!

N: Ale mnie z pracy wyrzucili! Dlatego tu jestem! W tym czarnym lesie! To jest czarna dupa właściwie, nie las! Weź mnie stąd!

ONA: Z pracy?

N: Nie przedłużyli właściwie mi umowy, stąd powinny być zrozumiałe moje uczucia, weź mnie stąd! Na bezterminowe wakacje, na podróż przed siebie po byłej Europie i po byłym sobie

ONA: Chcesz mnie opuścić? Kyrie Eleison!

N: Lepszego momentu już w życiu nie będzie, tym bardziej, że żadnej pracy na razie nie widać na horyzoncie, jestem na bezrobociu, przejadam oszczędności.

ONA: Karm się mną!

N: Uwolnij mnie! Weź mnie stąd! Przynajmniej na coś nowego, nie na rutynowe życie.

ONA: Dlatego mnie wołasz?

N: Dlatego wyruszyłem i cię wołam!
Weź mnie stąd! Z tego czarnego lasu!

ONA: Patrz przed siebie… Kyrie Eleison

N: Weź mnie stąd!

ONA: Przed siebie patrz, pod siebie patrz!

N: ja nie chcę żeby mnie widać, to nie mogę patrzeć przed siebie, bo mnie będzie widać!

2. BRUM BRUM

BMW: Grantowe BMW 320i, rok produkcji 2011, witam pana.
N: Co?
BMW: Witam pana. Spadamy stąd?
N: Dokąd?
BMW: Jest wczesna wiosna, jest bardzo ciepło, a zapowiadają nadejście fali przedwczesnych upałów znad Afryki, więc nadchodzi nam lato wiosną.
A zima….
A zima była lekka, właściwie nie było zimy, tylko od grudnia już coś w rodzaju marca, ale suchego, bo tak teraz wygląda zima w Polsce.
Chyba tak…
Tak, od grudnia było suche przedwiośnie, więc możliwe, że w marcu będzie już czerwiec, wszystko jest możliwe w tym klimacie rozregulowanym, jaki nam zapanował od jakiegoś już czasu, tak że nawet zdążyliśmy się przyzwyczaić do wszelkich zaskoczeń

N: No ja mam dość. Kyrie Eleison.

BMW: Ale mnie to odpowiada, wie pan, to przedwczesne i anomalne lato, mnie to odpowiada, mnie osobiście jest to na rękę, pogoda wakacyjna akurat na pana nagłe i anomalne wakacje, dajmy na to pod koniec marca. Wszystko przejezdne.
Witam pana. Dokąd więc gnać?

N: Weź mnie stąd.

BMW: oczywiście. Jestem granatowe BMW320i, rok produkcji 2011, dokąd?

N: Nie rzucać się w oczy.

BMW: Oczywiście. Zrozumiawszy.
Wyruszywszy więc z Warszawy, o godzinie, dajmy na to, jedenastej rano, minąwszy Raszyn, czy bardziej Faszyn from Raszyn, udawszy się dalej, jedziemy więc drogą nowoczesną krajową S8 na zachód!

N: Czemu na zachód?

BMW: No to na południowy zachód, na południowy-południowy zachód?

N: Ale dlaczego?

BMW: dlaczego tam?

N: Dlaczego, właśnie dlaczego?

BMW: Tam a gdzie nie?

N: No w jakimkolwiek innym kierunku, skoro jadę sam nie wiem dokąd? To czemu tam?

BMW: Nie sam.

N: No niby nie sam.

BMW: BMW320i, rok produkcji 2011, witam pana.

N: Czemu tam?

BMW: Otóż instynkt.
Instynkt podpowiada mi, żeby zawsze kierować się albo na południe, albo na zachód. Albo na południowy zachód, ale bardziej na południe niż na zachód, więc w efekcie jedziemy na

południowy-południowy zachód, tak bowiem podpowiada mi instynkt. Nigdy nie jechać na północ i nigdy na wschód, nigdy, ale to nigdy, jeżeli musisz, lepiej tam nie jedź, tylko właśnie na południowy zachód, a właściwie to na południowy-południowy zachód. Rozumiesz mnie?
BMW 320i, rok produkcji 2011, witam pana.

N: Nicuś, tak mi mów.

BMW: BMW320i, rok produkcji 2011, witam pana, czy to polskie imię?

N: No tak, Nicuś mi mów. Tak mnie nazwała matka, ściślej to mnie nazwała Nico, bo tak jej wpadło akurat do głowy, chyba z jakiegoś serialu, ale mówiła zawsze i do dziś mówi mi Nicuś, tak więc mi mów, jak moja matka mi mówi.

BMW: Oto znak! Skręcam więc.

DROGOWSKAZ :

Biedni nieszczęśliwi rodzice jego
Nie powinni byli mieć nigdy dzieci
Zero jest zerem
Zero powinno być zerem
Zero mówiące o swojej zerowości
Zero do potęgi zero
Zero to zero
Biedni nieszczęśliwi rodzice jego
Nie powinni byli mieć nigdy dzieci

BMW: Skręcam.

N: Można jednak dalej gdzieś, prosto?

BMW: W pana sytuacji instynkt mówi mi, że nie.

N: Czemu?
Bo wyrzucili mnie z pracy?
Może i tak, pewnie i tak.

BMW: Pierwszy skręt.

N: Pierwszy raz wyrzucili mnie z pracy. Tak jakby nie muszę udawać, bo na niczym mi już nie zależy, nie mam nadziei na nic, chcę jechać przed siebie.

BMW: Drugi skręt.
N: Może po drodze przemyślę przyczyny, dla których skończyłem tak marnie, mimo że zapowiedzi nie były złe, a nawet bywały dobre.
Owszem, kiedyś jeszcze się czegoś po sobie spodziewałem, miałem oczekiwania wobec siebie, aspiracje nawet, które jednakże zawiodłem. Ambicje, nic gorszego niż ambicje.

BMW: Trzeci skręt

N: Ciekawe, dlaczego tak się zmarnowałem, cały teoretycznie wyjściowo niezły potencjał poszedł na marne.

BMW: Czwarty skręt. Jeździmy w kółko.

DROGOWSKAZ:

Biedni nieszczęśliwi rodzice jego
Nie powinni byli mieć nigdy dzieci
Zero jest zerem
Zero powinno być zerem
Zero mówiące o swojej zerowości

Zero do potęgi zero

Zero to zero

Biedni nieszczęśliwi rodzice jego

Nie powinni byli mieć nigdy dzieci

3. PŁAKOPUNKT

BMW: Proszę pobrać bilet przejazdowy.
N: Gdzie?
BMW: O tam.

DROGOWSKAZ:

Drukuje bilet przejazdowy, który składa się z nagrania płaczu, od niemowlęcego, przez egzaltowany płacz młodzieńca, po zawodzenie i charczenie dojrzałego mężczyzny

N: już mam.
BMW: nie mogę kręcić się w kółko. Musimy jechać. Proszę zrobić coś.
N: Ale co ?
BMW: Proszę sprawdzić co jest napisane na bilecie przejazdowym.
N: Same reklamy.
BMW: Sprawdź.
N: O zmiłuj się nade mną
BMW: Poproszę kod z biletu.
N: O Biedronko poczciwa, detalicznego handlu królowo, ile cię trzeba znać, by cię przecenić. Unosisz się nad osiedlami z płyt wielkich betonowych, fruwasz wesoła pomiędzy blokami, Biedronko, co ludowi przynosisz pożywienie, wędliny, masło, bułki w cenach niskich codziennie, zmiłuj się nad nami, biednymi Polakami, insekcie, stonko. A dziś pokazujesz, co masz w sobie, ogórki kiszone promocjujesz, starasz się.
O mam! Wpisz: Radocha D.

4. RADOCHA

RADOCHA: Pamięta mnie pan?
Dziewczyna jestem, z urodzin

N: Z urodzin?

RADOCHA: No Dziewuckiego!

N: No jakże miałbym pani nie pamiętać.

R: To kiedy?

N: Co kiedy?

R: Kiedy się widzimy, drogi panie?

N: Jak najszybciej, droga pani.

R: Dobrze. Najszybciej to za dwa tygodnie. Może być?

N: Panie BMW!

BMW: BMW320i, rok produkcji 2011, witam pana.

N: Mam dwa tygodnie.

BMW: Słucham pana.

N: Czy moglibyśmy pojechać do Mani? Do jej domu na wsi? Stojącego na jej rodzinnych włościach na Podbeskidziu, nieopodal Jasła, całkiem rozległych włościach, polach, górach, stokach, z lasami, wąwozami, drogami, ma mnóstwo ziemi, a raczej, mówiąc ściśle, posiada ją jej rodzica.
BMW: Podkarpacie nie jest na południowy-południowy- zachód. Zmień trasę. Czy musimy tam? Byłeś tam?

N: Z Manią to poznaliśmy się w sierpniu, pierwszego, na Placu Zbawiciela, Mania jest spod Jasła, bo to bardziej standardowa sytuacja, bo ją bardziej standardowo lał przez lata mąż alkoholik, więc tak, tak musi być, że ona jest stamtąd, bo też ona, jak one wszystkie doświadczyła przemocy, poniżenia, najpierw od rodziców, a potem jak dorosła kobieta. Nie to co ja, nie mam aż tak złych doświadczeń, bo mnie tylko ustawicznie i ciągle grożono przemocą, ale prawie nigdy do niej nie dochodziło, a jeśli już, nie było to na pewno doświadczenie podobnej rangi.
Istny cud normalnie, żeśmy się tam normalnie poznali, fatum, zaprawdę, bo ja nie chciałem tam iść, no ale uparła się na to moja przyjaciółka Agata, osoba o zdecydowanie silniejszej woli niż moja, a do tego była z nami jeszcze jej przyjaciółka Agata, więc nie bardzo wypadało mi się upierać przy swoim, to znaczy, żeby nie iść na Zbawiksa, wszędzie, tylko nie na Zbawiksa. I jakoś na chwilę zostałem sam, Agaty się gdzieś odłączyły, każda dostrzegła znajomych w tłumie i z nimi gadała, jarałem szluga, skręta z tytoniu pueblo, no i wtedy nawinęła się Mania, Mania poprosiła mnie o szluga, daję jej zatem paczkę z tytoniem, , pytam, czy jej skręcić tego szluga, a ona, że nie trzeba, że sama se skręci, no i zaczyna sobie skręcać, a wraz z tym zaczyna nawijać do mnie, i chyba od razu, jak pamiętam, choć nie pamiętam już tego jak listy dialogowej, zbyt wiele czasu minęło, w każdym razie ona prawie bez wstępów zaczęła nawijać o swojej cipie, wyobraź to sobie. To znaczy, ściśle, o swoim performansie menstruacyjnym.
O feminizmie, o krwi, o walce, o patriarchacie, o niegoleniu włosów łonowych. No, nieogolona cipa to rzeczywiście była egzotyka. Tak nawijała, no a performens menstruacyjny to jednak performens menstruacyjny, to nie obieranie ziemniaków, to robi wrażenie, tak?
I ona tym się chełpi, o tym nawija, o bryzganiu krwią po białych ścianach, jest rocznica powstania warszawskiego, a tutaj laska, która dosłownie przed chwilą zaczepiła mnie o szluga,

nawija mi o bryzganiu krwią menstruacyjną. Uznałem, że to jest niesamowicie sexy, daję słowo, urzekła mnie ta historia. Że jest wolna, niewyparzona i wygadana ta Mania.

Twierdziła samochwalczo, że jest wieśniarą i dresiarą, a ja mam wielką słabość do wieśniar i dresiar, więc paliliśmy kolejne skręty z tytoniem pueblo i gadaliśmy, to znaczy głównie ona nawijała o sobie, ale wszystko to było fascynujące, jej performensy, jej projekty, jej plany, jej role w filmie, w teatrze, tu i tam, w Szczecinie, Berlinie, Jeleniej Górze, Odessie, wszystko to było megazajebiste i fantastyczne, do tego miała niski, gruby, rubaszny głos, ciemny jak miód spadziowy, i śmiała się głośno, i klęła siarczyście, o jak wspaniale, bezwstydnie przeklinała! Jakże mogło mnie nie ująć to jej przeklinanie?

Nie znałem wcześniej kobiety, która by tak bezwstydnie klęła i w ogóle miała dobre maniery tak bardzo gdzieś. Tak wolnej. Szarmancja i bohema. Mania bez skrępowania puszczała bąki, metaforycznie, ale dosłownie też, i miała to w dupie, a w zasadzie właśnie poza dupą; co prawda intuicyjnie chyba jakoś wiedziała, które są śmierdzące, i puszczała głośno tylko te bezzapachowe, natomiast smrodziarzy traktowała tak samo jak inni konwencjonalni ludzie, to znaczy nie puszczała ich w towarzystwie. Chyba że w ogóle nie miewała śmierdzących bąków, w co jednak nie wierzę. Więc było to wybaczalne, podobnie jak to, że bez skrępowania również bekała, czkała i dłubała w nosie, oczywiście subtelnie.

Otóż Mania miała tyle uroku i charyzmy, i osobistego szarmu, zaiste magicznego, że jakoś uchodziły jej te złe maniery, ba, dodawały nawet w jakiś tajemniczy sposób powabu, choć to, jak puszczanie bąków może dodawać powabu, jest zaprawdę czymś zagadkowym. Może to jedna z odwiecznych tajemnic miłości, co nie? Jak wiadomo, pokochać można dowolną osobę za dowolną cechę, ważne, żeby właśnie ta osoba miała tę cechę, i może w tym wypadku było to puszczanie bąków, kto wie? Przy czym nie było tak, że Mania od razu zaczęła puszczać bąki, już wtedy, na Placu Zbawiciela, nie, wtedy, o ile pamiętam, żadnego nie puściła, wtedy mówiła tylko o sobie i o swoich projektach i realizacjach, z których chyba wszystkie, o ile pamiętam, miały jakiś związek albo z menstruacją, albo z cipką, albo z tyłkiem, albo z innymi działaniami artystycznymi o inwariantnie cipkocentrycznym charakterze – i to mnie rozczulało, roztkliwiało.

Owszem, Mania miała fioła na punkcie swojej cipki, cycków, całego ciała, była wspaniale zwierzęca, instynktowna, miała fioła na punkcie swojego ciała i jego pokazywania, obnażania, grania nim, a miała piękne ciało, więc to na pewno też była próżność, ten

ekshibicjonizm, a także miała fioła na punkcie różnych wydzielin ciała, śliny, sików i krwi, zwłaszcza menstruacyjnej.

Mania uważała, że w jej cipce jest źródło mocy, którą trzeba czerpać za pomocą cielesnej autoafirmacji, używała awangardowych ekologicznych podpasek, już nie pamiętam z czego wykonanych, wielorazowych, uważała, że w krwi menstruacyjnej nie ma nic wstrętnego, przeciwnie, jest ona świętą substancją pełną odżywczych sił, którą w zasadzie należałoby pić, a która jest jedynie wyalienowana przez patriarchat. Oczy- wiście jej starzy nienawidzili jej za te akcje, to byli górale z Podbeskidzia, może nie tacy w kierpcach, to była góralska upper middle class podbeskidzka, ale to, co robiła Mania, nie mieściło im się w głowach; zresztą podcinali jej skrzydła całe życie, od zawsze wmawiali jej, żeby nie aspirowała nad- miernie. Rzecz jasna, jej niebywała, niewiarygodna pewność siebie, pozornie bezgraniczna, bezczelna pyszałkowatość, była tylko maską absolutnego braku pewności siebie, totalnego braku poczucia własnej wartości, bycia zlekceważonym i olewanym. Mania była wielką grą pozorów, ale któż z nas nie jest grą pozorów, większą lub mniejszą?

Któż z nas nie udaje tylko, że jest czymś więcej niż zerem, kto nie udaje, że czuje się ze sobą dobrze i pewnie, kto nie udaje, że uważa się za wartościowego, kto nie udaje, że ma siebie za coś i jest kimś?

Tylko że Mania udawała to wszystko w bardziej niepohamowany, łapczywy, chciwy i namiętny sposób. Mania, jak każdy, chciała czuć się kimś, a nawet kimś wielkim, czuć, że coś znaczy, że ma coś do powiedzenia, że ma wielką wartość, ona sama oraz to, co robi, więc symulowała i stymulowała w sobie to poczucie własnej wartości z wyjątkowo silnym zaangażowaniem i zapałem. Tak, żarliwość i zaangażowanie, z jakim Mania lansowała przed samą sobą oraz przed światem, urbi et orbi, samą siebie, ze swoją wybitnością, wyjątkowością i oryginalnością, uzdolnieniami, możliwościami, pomysłami, ideami; siła, z jaką Mania potrafiła emanować swoim przekonaniem co do posiadania przez siebie wszystkich tych oraz innych, wielu innych zalet w najwyższym możliwym stopniu, była zaiste imponująca i nieprzeparta, a jeśli ktoś z taką siłą potrafi narzucać swoje przekonanie o własnej wielkości, to już samo to czyni go wielkim – i Mania była wielka w swoim poczuciu własnej wielkości.

Nawet Dalajlama ma poczucie własnej wielkości, tylko się nie przyznaje, bo mu nie wypada, ale też nikt go o to nie pyta, bo i nikomu nie wypada go o to pytać, zresztą ludzie są może tak naiwni, że gotowi są wierzyć, że Dalajlama nie ma żadnego poczucia wielkości.

Mania poczucie własnej wielkości miała i, jako rzekłem, potrafiła operować nim w sposób swobodny i narzucający się. Była w tym prawdziwą mistrzynią, imponowała mi niesamowicie tym, że przy nie aż tak znowu wybujałych możliwościach potrafi narzucić innym swoją wielkość. Cóż, może chodziło to, że łatwo jest narzucić swoją wielkość komuś tak malutkiemu jak ja. Ale potrafiła też – była w tym mistrzynią, i to w niej było najsłodsze, najbardziej kochane i czarujące – udzielać mi swojego poczucia wielkości, opromieniać mnie nim tak, że czułem, jakby pochodziło ono ze mnie samego.

Miała w sobie coś takiego, że przy niej, z jej poczuciem wielkości i jedyności, też można było czuć się wielkim, ona mnie wywyższała wraz ze sobą, nie zostawiała na dole, tylko zabierała ze sobą w górę, przynajmniej do czasu. Owszem, potrafiła nie poniżać cię swoją wielko- ścią, tylko współdzielić ją z tobą – i to było w niej naprawdę ładne, wielkoduszne, za to nie można jej było nie kochać.

O, jakże to było dulce et decorum kąpać się w szampanie jej megalomanii i pewności siebie; ona ich nie skąpiła, dawała je wraz ze sobą, bo skoro kochała cię osoba tak wielka i pewna sie- bie, to znaczyło, a fortiori, że i ty musisz być wielki i pewny siebie, i zaprawdę, ona tak bardzo wierzyła w siebie, że przez to też wierzyła we mnie, a przez to, że tak bardzo wierzyła we mnie, ja też musia- łem wierzyć w siebie, bo inaczej byłoby głupio, że ona tak wierzy, a ja nie, więc w ten sposób uwierzyłem w siebie jak chyba nigdy w życiu, udzieliła mi się bowiem wspaniała, bezgraniczna (może trochę przesadzam, może się trochę egzaltuję) i zaraźliwa megalomania Mani, przekonanej, jak się zdawało, bez wątpienia, o własnej boskości.

Gdy ktoś spytał Manię, czy wierzy w Boga, miała zwyczaj odpowiadać, że wierzy, że sama jest Bogiem. Było to pretensjonalne i głupie i nawet trochę było mi za nią wstyd, że tak gada, ale na tym polegał jej szarm, jej powab, jej demon. Jesteśmy bogami, mówiła Mania i nie rzucała tego na wiatr; mówiła to na śniadanie, mówiła na kolację, mówiła w nocy, mówiła, kiedy się kochaliśmy, i kiedy czytaliśmy, i w ogóle cokolwiek robiliśmy, było to boskie, byli- śmy bogami, na dobranoc i na dzień dobry, bo tak Mania mówiła, jesteśmy bogami, kurwa, mówiła z uniesioną zaciśniętą pięścią.

Bo co jak co, przesadzała, oczywiście, że przesadzała z tą wiarą w sie- bie, wszystko to koniec końców było fantastyczne, nadmuchane i sfałszowane, tak, było to głośne i na hurra, na wariata sztukowane, ta jej boskość, podrabiane, ale dobrze podrabiane, naprawdę dobrze, prawie nie do odróżnienia od autentyku, to była pierwszorzędna gra, więc wszystko jedno, czy to podróba, skoro nie do odróżnienia, tak? Wiedziała, jak wmawiać innym własne złudzenia, karmiła się nimi i potrafiła też hojnie nimi karmić, ja też karmiłem się przez ten czas jej złudzeniami i dobra to była strawa, zaprawdę, powiadam ci, dobra, syta. Wszystko to było, jasna sprawa, wielkim snem Mani, kompensacją i odwróceniem kota ogonem, bo oczywiście Mania była bardzo niepewna siebie, bardzo krucha i wrażliwa na swoim punkcie, i straumatyzowana oczywiście też, jak one wszystkie, także dostała w kość, doświadczyła przemocy.

BMW: Jeśli nigdzie nie ruszymy, może zabraknąć nam paliwa.

DROGOWSKAZ:

Drukuje nowy bilet przejazdowy, który składa się z nagrania płaczu, od niemowlęcego, przez egzaltowany płacz młodzieńca, po zawodzenie i charczenie dojrzałego mężczyzny

BMW: Pojedźmy już.
N: Dokąd?
BMW: Gdziekolwiek.

5. DWA TYGODNIE - POŻEGNANIE Z BOGIEM

R: Ciao, czekam na pana.

N: Gdzie?

R: w barze.

N: podnieś rękę, żebym wiedział, gdzie siedzisz.

R: Zobaczy pan mnie w performansie, „Pożegnanie z Bogiem" się nazywa, zaangażowałam się w to proszę pana

N: jako aktorka?

R: Poniekąd proszę pana.

N: Czyli jak?

R: poniekąd proszę pana jako aktorka, poniekąd ideowo, proszę pana. Włożyłam w to wiele serca. To dramat o odchodzeniu od religii, i on, ten dramat proszę pana, jest też poniekąd z moim udziałem, moim przeżyciem. Chodzi o utożsamienie proszę pana. Czy pan umie się utożsamić?

N: Ja też proszę pani, poniekąd, miałem swoje pożegnanie z Bogiem, mogę się utożsamić, utożsamiamy się z tym, co robią nasi ukochani.

R: Ma pan więc powody, żeby się z tym utożsamić.

N: W ogóle mamy swoje powody, żeby się nawzajem identyfikować, jesteśmy do siebie podobni w sposób nieomal mistyczny. Lubi pani gołębie?

R: Nienawidzę gołębi.

N: Widzi pani, oboje nienawidzimy gołębi.

R: Nienawidzę. Czy śni się panu coś mistycznego? Coś takiego religijnego, od czego nie może się pan uwolnić? Bo mnie się śnią rozpadające się zęby, miewa pan takie sny?

N: Ciągle.

R: Mam taki zestaw regularnych nieprzyjemnych snów, ten o rozpadających się zębach, o grzęźnięciu stóp w ziemi i o niemożności wysłowienia się, słowach jakby niemogących „wyjść z ust". Tego ostatniego nienawidzę chyba najbardziej, ten jest chyba najgorszy.

N: No a ten o zębach? Ten jest dopiero straszny. Po prostu czujesz, jak zęby ci wyłażą z dziąseł, rozpadają się na kawałki, wypadają z ust albo wręcz zalegają w nich jak pokruszone kamienie.

R; No a ten o grzęźnięciu w ziemi? To dopiero okropność. Idziesz, męczysz się, mozolisz, każdy krok to walka, chcesz biec, ale nie możesz odkleić się o ziemi, chcesz uciec, a to trzyma, hamuje, posuwasz się do przodu z największym wysiłkiem, koszmar!
N: Tak, trudno powiedzieć, który jest najgorszy.
R: Wszystkie są najgorsze. Dlatego odchodzę od religii. Bo od tego, że mógłby istnieć Bóg, gorsze jest tylko to, że mógłby istnieć zły Bóg.
N: Czy możemy się spotkać?
R: Tak jak mówiłam. Czekam na pana. Kiedy powiem : „przecież nie można być winnym od urodzenia, grzech pierworodny to bzdura", podnieś rękę, żebym wiedziała, gdzie jesteś, dobra?

PERRFOMANCE RADOCHY – MARNY TANIEC ZE WSTĘGĄ

Ah, because the world is round, it turns me one
Ah, because the wind is high, it blows my mind
Ah, love is old, love is new
Love is all, love is you
Because the sky is blue, it makes me cry
Love is all, love is you
Bog nas zawiódł
A może ukarał
Nie dał nam wstąpić do raju.
Dantemu dał, a mnie nie
przecież nie można być winnym od urodzenia, grzech pierworodny to bzdura

N: Radocho!
Nie płacz już kochana, nie płacz
Głaszczę cię po policzkach
Piję twoje łzy i smarki
Przecieram twe oczy przekrwione
Bóg nie jest nam do niczego potrzebny, skoro mamy siebie
Ja wolę bez Boga

BMW: Znasz – li to uczucie szczególnego rodzaju wielkiej ulgi, a jednocześnie też szczególnego rodzaju niepokoju, jakich się doznaje, kiedy się opuszcza Polskę?
Tak, wiem, że nie znasza, że znowu coś cię dziwi, znowu coś ci wmawiam, ale znaleźliśmy się na terytorium Republiki Czeskiej.

N: Jak Boga kocham, nie pamiętam, kiedy jadłem ostatnio knedle, weź się zatrzymaj, na kolację zjem se knedle, posłucham sobie głosów języka czeskiego, lubię język czeski.

ONA: Nicuś, co ty w ogóle odwalasz?
Bez Boga w podróż?
W rzeczy samej wychodzisz na idiotę, świra jakiegoś, dziwnego wuja
Stalkera, prześladowcę,
Nicuś, jak to wygląda?
Przecież to źle naprawdę wygląda
I am warning yoy!

6. DALEJ?

N: Jedźmy dalej.

BMW: Czy zawrócić na Salzburg? Na Innsbruck? Do Jugosławii? Na wyspę Murano?

N: Nie, dalej, przed siebie!

BMW: Dokąd zawrócić proszę pana?

N: Nie zawracać, tylko dalej, przed siebie!

BMW: Dokąd zawrócić proszę pana?

N: Skoro już się tutaj znalazłem, niby przypadkiem, zjadłem czy nie zjadłem knedle, należałoby jak najszybciej wyjechać, tymczasem ja się zatrzymałem, po co? Wyjaśnij mi.

BMW: Dokąd zawrócić?

N: Nie wiem. Warszawa wygląda nawet znośnie o tej porze roku, daje się wybronić, choć rzecz jasna w porównaniu z Lizboną jest okropna. A jeszcze gorzej było z moim mieszkaniem w bloku, nie tak nawet ciasnym, co klaustrofobicznym, no i jeszcze ten widok z mojego okna, posępny, ogromny osiedlowy parking pośród bloków. Pół życia przeżyłem, patrząc z okna na gigantyczny parking wśród bloków, a bloki te pomalowane były w kolory lodów włoskich, tak, były brzoskwiniowe bloki (sapore pesca), były cytrynowe bloki (sapore limone), były bloki pistacjowe, ulubiony smak mojej mamy (pistacchio).

Co sądzisz o tej kolorystyce?

BMW: Wyraża ona marzenie Polaków o świecie bardziej wesołym i barwnym. Zaiste, interesująca kolorystyka i krajobraz.

N: Polsko, matczyzno moja, że taka właśnie jesteś – bloki pomalowane na brzoskwiniowo, cytrynowo i pistacjowo, a między nimi gigantyczne parkingi, tak, 95% Polski to bloki i parkingi.

Mieszkam w bloku, wytłumaczyłem jej, bo Niemcy zburzyli moją rodzinną kamienicę w czasie wojny. Na każdym rogu i skrzyżowaniu, banery wielkie jak chmury, kotły na pellet, dachy, dachówki, szamba i terakota, glazura, gres, żwir, koks, oleje, smary, armatura. Świat małych i średnich przedsięwzięć, małych i średnich Zdziśków od płotów i kominów, od blachy i spalin, drutów i dymów, grobów i kamieni. Co tu kryć, to kraina nicości, kraina niczyja, kraina nikogo; wszyscy tu jesteśmy jednym wielkim niczym, jednym wielkim nikim świata, to naród-nikt. Co to za Bóg nas stworzył, mizerny i nieudaczny przygłup! Przemierzam krajobraz ojczysty, szare kępy, zarośla, wysypiska, gruz, ktoś jedzie ścieżką na rowerze, na pagórku ścinają właśnie

samotne drzewo, pewnie zbyt się rozrosło i przeszkadzało ludziom. Wszędzie na świecie jest brzydko, tylko miejscami jest ładnie, na wyspach urody, ale w Polsce nawet tam, gdzie niby miało być ładnie, jest brzydko.

BMW: Zjechałem z drogi głównej w powiaty, nigdzie mi się nie śpieszy.

N: My jesteśmy dalej tutaj?

BMW: I am warning you, sir.

WŁOSKI GŁOS:

Czemu wszystko teraz jest takie inne?

Kiedy byłam dziewczynką, co lato jeździliśmy nad morze. Morze Tyrreńskie było moim światem, tak jak dla niego był nim Adriatyk.

E lì, nel nostro mare, ci sentivamo a casa.

On jeździł z ojcem do Jugosławii, do tej małej Italii, która kiedyś tam istniała. A ja z rodzicami i bratem do Kalabrii, do Tropei. Zawsze tam, do tego samego miejsca.

To było nasze miejsce, nasz żywioł.

Morze – błękitne, przejrzyste, słone. Skały, które otulały nas swoim ciepłem, gdy tylko wychodziliśmy z wody. A w wodzie byliśmy cały czas.

Czuliśmy, jak morze nas przyjmuje, jak nas pochłania. Nie chciałam z niego wychodzić. Tam czułam się wolna, czułam się częścią czegoś większego.

E anche lui faceva lo stesso.

Pływać nauczyłam się w godzinę – tata mnie instruował, wspierał.

Dwa dni później już nurkowałam, płynęłam pod wodą, docierałam do dna. To była magia. A potem nauczyłam się czegoś jeszcze – tego największego sekretu. Wypływania dalej, dalej niż ktokolwiek inny, aż tam, gdzie woda stawała się „czarna".

Nie bałam się.

E non volevamo più uscirne.

Oddalałam się od brzegu z pełnym zaufaniem. Płynęłam sama, tak daleko, że dzisiaj byłoby to nie do pomyślenia. Ale wtedy?

Dzieci nie mają wyobraźni. Mają tylko ufność – cudowną, nieskrępowaną ufność. Taką, która albo cię zniszczy, albo uczyni silniejszą.

A teraz? Co się stało z tamtą ufnością? Z tamtym poczuciem, że morze mnie chroni, że skały mnie przyjmują? Patrzę dziś na morze i czuję lęk.

Czuję, jak jest wielkie, jak jestem mała. Ale gdzieś w środku wciąż słyszę ten szept. Morze mnie woła. Tak bardzo za nim tęsknię.

E adesso? Dove è finita quella fiducia? Dove sono finite quelle estati, quelle rocce, quell'acqua che mi abbracciava?

Powiedziałam mu to wprost: jesteś znakiem powietrznym. Tak to ujęłam. Ale potem, po chwili namysłu i krótkim sprawdzeniu czegoś w internecie, poprawiłam się – jesteś powietrzno-powietrznym. Bo każdy znak ma swój żywioł dominujący i uzupełniający, prawda? A u niego, według dokładnej daty urodzenia, to wszystko jest jasne: powietrze i powietrze.

Spojrzałam na niego i powiedziałam: „Jesteś powietrzem, czystym powietrzem". I czułam, jak te słowa nabierają sensu. Czy to nie jest piękne? Być powietrzem? Ulotnym, swobodnym, lekkim... ale jednocześnie nieuchwytnym, czasem niestabilnym, trudnym do zatrzymania.

Może dlatego mnie fascynuje. To, jak się unosi, jak się wymyka, jak nie daje się zatrzymać. Powietrze ma w sobie coś magicznego – jest wszędzie, ale go nie widzisz. Czujesz je, ale nie możesz pochwycić. Taki właśnie jest on. Taki właśnie jesteś ty.

N: Włochy? Włochy? Gdzie są w ogóle jakieś Włochy…. Jesteś znikąd?

WG: Zęby, rozpadają ci się zęby…

N: Włochy? Gdzie do licha są Włochy. Chciałbym jeszcze zjeść knedle, czy możemy pojechać na knedle?

WG: Zęby ci się rozpadają
Ti stanno cadendo i denti!

7. ODBIÓR

BMW: Czy nie mógłby pana ktoś odebrać?

N: Skąd?

BMW: Skądkolwiek. Dojadę.

N: Kto?

BMW: Nie wiem.

N: Ja też nie wiem.

BMW: Może mama?

N: Mama, moja mam?

BMW: Może tak byłoby lepiej?

N: Lepiej niż?

BMW: Może warto czasem wrócić do mamy?

N: Do mamy?

BMW: o nieszczęsna jego mamo, jakże mi ciebie żal…

N: Mojej mamy?

BMW: Może akurat jest wolna? Podjedziemy przed siebie.

Wydaje mi się, że im dalej od niej, tym więcej gdziekolwiek robi się w panu Polski w Polsce….

N: Moja mama to jest z takiej średniej prowincji na Górnym Śląsku

BMW: Czy można tam pana zawieść? Odpocznie pan tam…

N: Babcia uważała odpoczynek za grzech.

BMW: A mama?

N: Mama, jak wszyscy w tym kraju, no prawie wszyscy, została wychowana na niewolnicę, no kogoś, kto z niewolnictwa swego czerpie pokątną, cierpiętniczą satysfakcję, radość życia w podległości, życia, jakby nie wolno było być sobą, słuchać siebie, życia niewolniczego. Jakże ja więc mogę udać się do niej, na odpoczynek, do takiej niewolniczej atmosfery.

Zupełnie nie mogę jechać do tak nie pasującego mi domu, tak polskiego wyraźnie i obcego mi od tego, że właśnie robię przed siebie podróż, daleką i bliską, a wracać mam, gdzie polska niewolnica zniewolona nie czeka na mnie? I przebywa tam, gdzie ja przebywać, jako wolny, szczególnie teraz, gdy wylali mnie z pracy, nie mogę?

Do miejsca, z którego moja matka, niewolnica, nie oddaliła się od mentalności swego domu rodzinnego, w którym, jak mówiłem, babka sama mówiła, że odpoczynek to grzech, tak bardzo, by móc ją zakwestionować, ale przynajmniej, co zdaje mi się widoczne, oddaliła się na tyle, by prezentować tę niewolniczość w złagodzonej, lżejszej postaci?
Jednocześnie, w reakcji obronnej na tę mentalność uciekła w infantylność, zdaje się pod niejednym względem dzieckiem, jedenastolatką, całe życie tylko udającą, że jest dojrzała i dorosła.
Co prawda, jak o tym myślę, to dochodzę do wniosku, że tak jest z absolutną większością ludzi. Absolutna większość ludzi to oszuści. Tak, prawie każdy udaje, że wie, co mówi, co robi, co myśli i po co, oraz co się dzieje; prawie każdy myśli, że wie i rozumie, co jest grane.
Wolałbym jednak ruszyć do Czech, do kraju drugiego Boga, jakby to powiedzieć.

BMW: Tam byliśmy.

N: Nie pamiętam.

BMW: Zgubił pan tam ząb.

N: Niemożliwe.

BMW: Dlaczego?

N: Nie wierzę w Boga.

BMW: A co ma wspólnego ząb i Bóg?

N: Tylko jeśli wierzy się w Boga, można zgubić zęby, tak jest w snach, tych przesyconych religią, grzechem pierworodnym, przekleństwem, strachem, lękiem.

BMW: Stracił pan tam ząb. Nic wielkiego, zdarza się.

N: To niemożliwe.

BMW: Ależ tak.

N: Nie byliśmy tam, pan kręci się w kółko.

BMW: Bynajmniej nie.

N: Chcę do Czech.

BMW: Po co?

N: Tuż za granicą z Czechami wszystko okazuje się nieco lepiej pomyślane, zrobione, urządzone z więk szą czułością i wprawą, drogowskazy zdają się bar dziej czytelne, lampy przydrożne zdają się stać bardziej pionowo, a w nocy świecić lepszym światłem, droga jest jakby z gładszego asfaltu, mała archite tura jest mniej toporna i barakowata, farba na ścianach świeższa, a jednocześnie nie w tym jaskrawo intensywnym odcieniu, nawet zieleń drzew jest jakby szlachetniejsza.
Więc ulga, że się już nie jest w przeklętej, małodusznej, niewdzięcznej, głupkowatej i poniżającej cię Polsce, można oddychać pełniejszą piersią, bo nie jest się już stłamszo- nym przez Polskę i jej ducha ciężkości, jej złą głebię i posępną powierzchnię; przez jej garb frustra- cji, bagaż win i tobół cierpień i traum, bo Polska jest jak moja matka, a moja matka jest jak Polska, więc ulga, że się już nie jest pod jej skrzydłami, w jej oparach polskich oszałamiających ogłupiających.

BMW: Czyli po co?

N: No to może, dalej, przed siebie…

BMW: Czyli dokąd?

N: O, już wiem! Austria! Niech będzie Austria!

BMW: Dlaczego Austria?

N: Austria to chyba jednak nie jest coś hańbiącego, ach, Austria, poznasz ją po tym, że naraz robi się jakoś bajkowo, robi się cute, robi się tak milutko, cieplutko jak w domku dla lalek, jak we wstępie do horroru rodzinnego, to taki kraj grzecznych ludzi, super- grzecznych, tak grzecznych, że wyobrażasz sobie, że nawet egzekucji dokonuje się tutaj z poszanowa- niem dla subtelnych manier, kat ściska uprzejmie rękę skazańcowi, wymieniają się miłymi uwagami, lukrowany kraj.

BMW: Byliśmy w Austrii, zgubił pan tam ząb.

N: Nie, to niemożliwe!

BMW: Tak, byliśmy tam.

N: To może donikąd?

BMW: Czyli dokąd?

N: To nie przypadek, że wybrałem się w drogę donikąd i już następnego dnia wyjechałem z Polski, choć w sumie nie miałem takiego planu, po prostu wyruszyłem przed siebie – ale teraz już jestem poza Polską, poniekąd wolny od niej.
Po co mam wracać do Polski faszystów?
Gdzie znajdę pracę? Jaką? Przecież niczego nie umiem.

BMW: Może to jest znak, Polska mówi panu w ten sposób, że nie jest pan wcale z niej, nie jest pan jej.

N: Zawsze byłem traktowany jak obcy, trzymany z dala, niedopuszczany; wiem dobrze, że to nie dla mnie kraj.

BMW: Dlaczego więc wreszcie nie zrobi pan tego, o czym zawsze pan marzył, nie wyniesie się pan z przeklętej i przeklinającej pana , anatemizującej Polski?

N: No właśnie, co mnie w niej trzyma, skoro wyrzucili mnie z pracy? Wiadomo, język mnie tam trzyma, żadnego innego języka nie znam tak dobrze i dogłębnie, niestety.
I to mnie trzymało, i to mnie wciąż trzyma, język.
Oprócz pracy, którą bardzo lubiłem, ona trzymała mnie najbardziej. Ale teraz takiej drugiej nie znajdę. Więc może jednak, adieu, Polsko, ojczyzno moja?
Może to jest właśnie ten czas, żeby nareszcie zrobić to, co każdy rozsądny człowiek powinien zro- bić w pierwszej kolejności – uciec z Polski? Przestać też mówić i myśleć po polsku?
No bo co mnie tam trzyma? Aaa! No przecież! Matka. Przecież nie zostawię jej tam samej. To, że jestem jedynym jej bliskim; nie ma nikogo oprócz mnie. Tak. Ech. Faj- nie było pomyśleć przez chwilę, że nic mnie nie trzyma w Polsce, nic mnie na nią nie skazuje.

BMW: Więc dokąd? Do tutaj? Do tam?

N: Może jednak za siebie, za siebie.

BMW: To nic nowego, to nasza odwieczna pozycja. Choć już ciemno, kontynuuję jazdę.

N: Jeszcze nie myślę o noclegu, już trzecim w tej podróży donikąd, czyli podróży po sobie, czy nie wiadomo czym; do czego też już się zdążyłem przyzwyczaić, o tak, jutro, pojutrze będę już tak przyzwyczajony, że inne życie niż w podróży donikąd zacznie mi się wydawać coraz większą abstrakcją, tak już będę przyzwyczajony, a nawet przywiązany do podróżowania donikąd.

BMW: Tymczasem krajobraz Austrii robi się coraz bardziej górski, zwłaszcza po dru- giej stronie Dunaju, droga coraz bardziej kręta, to działa kojąco.

N: Kocham góry, takie prawdziwe, nie pagórki, nie wzgórza, góry; jadę doliną, mijam miasteczka schludne, ukwiecone i zamożne, z żółtobiałymi dzwonnicami barokowych kirchen, z zielonymi neonami Apotheke oraz żółtymi Raiffeisenbanku, kojarzysz ten klimat, czysto i sennie, ale znakomite oświetlenie, po zmroku tylko żółte neony, apteki i banki.

BMW: Oraz góry, niekłamanie dostojne

N: Teraz ich nie widzę, ale wiem, że tam są, u dołu odgranicza je ciemna linia lasów iglastych, na niej kończy się jakby świat, powyżej jest tylko ciemność, ciemności kryją ziemię. Czasem, ale tylko czasem zauważam nazwę miejsca, przez które przejeżdżam, nic mnie nie obchodzi, jak się te dziury nazywają, ja też się nie nazywam. Coś się dzieje ze mną, bez wątpienia. To nie jest zwykła moja podróż, jedna z wielu. Ciekawe, jak to się skończy. Na razie nieprzewidywalność!

8. POBOCZE

ONA: O Matko Boska, ależ jestem przebodźcowana, potrzebuję wreszcie się wyciszyć, wsłuchać w siebie, bo zwariuję, zamknąć się w jakimś buddyjskim klasztorze i zastanowić wreszcie nad sobą, kim ja w ogóle jestem, pomyśleć wreszcie, co ja tu robię, dokąd tak pędzę…
O, ząb mi wypadł, Matko Boska!
Halo, przepraszam, czy możecie się zatrzymać? Hej wy!

BMW: Czy mogę się zatrzymać?

N: Ale gdzie?

BMW: Tutaj, na poboczu, pani prosi.

N: Co się stało? Przepraszam, nie mam czasu, ciemno..

ONA: Ząb mi wypadł, zęby mi gniją.

N: Co?

ONA: Szukam swojego zęba, wypadł mi.

N: Kim pani jest?

ONA: Przychodzi mi do głowy, że mogę być lunatyczką.
Szukam zęba.

BMW: Chce pani dokądś jechać?

ONA: Nie, chcę posiedzieć sobie w ciszy.

Chwycić się za ręce.
Dokąd panowie jedziecie?

BMW: Trudno powiedzieć. Dotychczas błąkaliśmy się po omacku, po bezdrożach. Wciąż trwa iluzja pana w odnajdywaniu siebie, wiara w dotarciu do celu.

ONA: Bez zęba nie mogę nigdzie jechać.

N: Nosisz we włosach rumianek i na sznurku kamień.

ONA: Zaprowadź mnie do winnicy, jabłonią wstrząśnij, nakarm konie, bo nikt przecież nie widział, jak twoją krew nocą pije słońce, nie słyszał nikt, że twój śmiech oddechem jest iglastych lasów. Nie widział nikt, jak zbierasz chrzan i czosnek. Nie wiedział nikt, że jesteś księżyca grzywą płonącą.

N: Kto?

ONA: Jestem człowiekiem bez drogi, bez celu i sensu.

N: Że błąkanie się po manowcach?
a nie dochodzenie do jakichś zaplanowanych punktów?
że lunatykowanie i szamotanina na bezdrożach?
a nie trzymanie się wytyczonego szlaku?
że kręcenie się w kółko?
i wpadanie wciąż w te same doły, bagna i dziury?
powracanie wciąż niechcący do punktu wyjścia?
i to ku totalnemu zaskoczeniu?

ONA: że oto znów jest się w tym miejscu – oto moje życie, dlatego gubię zęby

N: Rozumiem cię

ONA: Wiem.
N: To nie jest nienawiść.

ONA: To jest czułość, wiem.

N: Możemy tu zostać?

BMW: Nie widzę żadnego zakazu…

N: Zostanę z tobą.

ONA: Posiedźmy cicho. Zjesz coś?

N: Moja mama, która…

ONA: Cicho, zjedz, zanim wypadną ci wszystkie zęby.